

Legendy i opowieści marzeńskie

Legenda o wybudowaniu kościoła

Działo się to równo tysiąc lat temu. Był rok 996.

Biskup Wojciech objeżdżał ważniejsze grody państwa Bolesława. Ciekaw był jak dalece wiara w Chrystusa zakorzeniła się w duszach mieszkańców księstwa.

To co widział, zatrzymało go.

Już trzydzieści lat mija, jak księżę Mieszko ochrzcił ten kraj, a prosty lud i tak trwa przy swoich bałwanach. Cóż można robić? - zastanawiał się Wojciech.

Po wizytacji Grzybowa, najkrótszą drogą udał się do drugiego warownego grodu, jakim był Giecz. Ujechawszy milę w kierunku Cimowa orszak biskupa Wojciecha wjechał między chłopskie domostwa, położone nad kilkoma małymi stawami. Sioło zwane Marzanino stało na skraju puszczy. Chaty zbudowane z grubych bierwion okalały duży plac. Zmierzchało, więc chłopcy spędzali nań bydło.

– To tu - odezwał się prowadzący orszak woj, wskazując ręką na kamienny krąg ułożony między stawami.

– Więc w tym miejscu ci poganie czcili swoją boginię? - spytał Wojciech, a niezadowolone odmalowało mu się na twarzy.

– Tak panie. Zwali ją Marzana. Stąd i nazwa sioła. Jak tylko śniegi puszczały, smardy ciągnęły tu, by składać jej cześć odpowiedział dowódca straży. - Kiedy jednak stary księżę Mieszko kazał Marzanę spalić i utopić, a karami zagroził, tedy tylko po kryjomu kto to jaką objętą jej przyniesie i na kamieniach złoży.

– Nie siłą trza wiarę w Chrystusa szerzyć, a słowem. Księżę Bolesław musi porządek zrobić z tym pogańskim obrządkiem.

– Księżę Bolko o niczym innym nie myśli, jeno tylko jak Chrystusowi służyć, zaleć smardy uparte i do wiary oców przywykle - zafrasował się woj.

Orszak otoczyła gromada bosonogich dzieciaków w koszulinach do kostek. Wlepiaty ślepia w konnych. Chłopi stali dalej, bojąc się zbrojnych. A nuż przyjechali zaciągać na wyprawę lub też ściągać nową daninę? - dumali, patrząc spode łbów.

Wojciech dostrzegł strach w ich oczach.

– Sprawić trza, by skoro w miejscu tym stanął kościół i nawracał tych biedaków. Umu muszą chrześcijańskiego nabyć. Wiele lat minęło, gdy książę Mieszka kazał ich święte dęby pościnać i co?

– Wojciech spojrzął na rosłego zbrojnego. - Rosną wciąż nowe drzewa, a całego kraju i Bolesław nie wykarczuje. Dotąd leją miód na korzenie świętych dębów, albo kaszę stawiają dziadom, ognie palą, na Dadźboga się zaklinają. Mołwią, umu trza im dać!

Wróciwszy do Gniezdna biskup Wojciech niedługo przekonywał księcia. Jeszcze jesienią stanął w Marzaninie na środku placu kościół, jeden z pierwszych w państwie Bolesława. Wiele drzew poszło pod topory dla jego zbudowania, a kamienie ofiarne świątyni Marzanny stanowiły fundamenty kościoła. Wojciech osobiście nadzorował budowę, a przed wyjazdem do Prus często tu bywał. Sam bił na pierwszą mszę w darowany przez księcia dzwon.

Pół roku później. wczesną wiosną 997 roku Wojciech już nie żył. Niósł wiarę w Chrystusa do pogańskich Prusów i z ich rąk zginął.

Prezbiter Jakub, który do Marzanina z Gniezdna przybył, tak dalece w swej pracy postąpił, że ludzie odtąd świętowali topienie Marzany ku chwale Chrystusa. A nazwa siola ostała ku przestrodze, i by opowieść o świętym Wojciechu przetrwała wieki.

Kościół wiele razy był przebudowywany, ale kamienie ofiarne pogańskiej świątyni Marzany wciąż stanowią jego fundamenty. Fundamenty, po których stapał święty!

Stanislao Marzeniensis

Cała historia miała swój początek 450 lat temu.

W Polsce władał wówczas król Zygmunt Stary. I właśnie wtedy, w małej wiosce Marzenino, w chłopskiej rodzinie, przyszedł na świat chłopiec, któremu rodzice nadali imię Staś.

Kilka lat później miał chłopiec już młodsze rodzeństwo: siostrę Mariannę i brata Wojciecha. Rodzice jego byli zwykłymi kmieciami. Wyróżniali się jednak niezwykłym uporem i pracowitością. Wykarczowali kawał lasu, by mieć ziemię pod uprawy. Sąsiedzi nazywali ich Twardymi, gdyż nie poddawali się nieprzychylności losu.

Pewnego dnia ojciec zabrał najstarszego syna na targ do Gniezna. W Gnieźnie był Staś już kilka razy, ale pierwszy raz zobaczył, i to z bliska, orszak królewski wjeżdżający w bramy

miasta. To Zygmunt August, w kilka dni po swojej koronacji w Krakowie, odwiedzał znakomite miasto. Piękne konie, błyszczące zbroje rycerskie, wspaniała karoca i wiwaty ludzi wszystko to zauroczyło małego chłopca. W drodze powrotnej do domu wypytywał ojca o króla, o rycerzy, o Kraków, z którego rządzi król. Biedny ojciec nie ruszał nigdy nosa z Marzenina i nie mógł zaspokoić do końca ciekawości syna. Gdy już dojeżdżali przed swoje obejście Staś z dziecięcą stanowczością zapewnił:

– Ja też kiedyś zostanę rycerzem, będę mieszkał w Krakowie i służył królowi!

Pod sumiastym, ojcowym wąsem pojawił się uśmiech. Nie chciał wybijać maluchowi z głowy tych marzeń. - Dorośnie, to zmądrzeje. Gdzie tam chłopskiemu dziecku sięgać tak wysoko - pomyślał poganiając woła.

Gdybyż wtedy wiedział, że Staś otrze się o ten wielki świat, że zamieszka w Krakowie. Bo czasami spełniają się dziecięce marzenia, trzeba jednak im trochę pomóc.

Jesień roku 1548 była pełna wydarzeń. Jeszcze się nasz bohater nie zdążył nacieszyć sławą, jaką zdobył opowiadając wszystkim chłopakom o królewskim orszaku, a tu nowa niespodzianka. W domu ich zamieszkał zakonnik, który miał nauczać w szkółce parafialnej. A że plebania była mała, to i u nich zajął kąt w największej izbie.

Póki było moc pracy w polu, tylko z rzadka odbywały się lekcje w szkółce. Wieczorami zaś brat Albert, bo tak kazał nazywać się gość, opowiadał Stasiowi a to o Rzymie i papieżu, a to o Krakowie i królu, najczęściej jednak historie ze starego i nowego testamentu. I tak oto chłopak, który dotąd całymi dniami uganiał się z kolegami po okolicy, teraz nie mógł oderwać się od brata Alberta. Podpierając piąstkami podbródek i wybałuszając oczy, wstrzymywał oddech, by nic nie uronić z opowieści zakonnika.

Szybko brat Albert dostrzegł w Stasiu nieprzeciętne zdolności. Celowo poświęcał mu bardzo dużo czasu, ćwicząc chłopca w czytaniu i pisaniu po łacinie, oraz w rachunkach. Jedynym podręcznikiem była Biblia, którą wraz ze świętymi Staś tak ukochał, że jak sam mówił:

– Już nie rycerzem króla chcę zostać, ale szaty duchowne przybrać i Bogu służyć

Mijały lata. Tej wiosny Staś miał ich już piętnaście.

Brat Albert co wieczór rozmawiał z ojcem, o czymś go przekonywał. Chłopiec domyślał się, że on jest obiektem tych rozmów, że o jego przyszłość toczą się spory. Któregoś dnia zakonnik wyjechał do Poznania. Wrócił po paru dniach bardzo z siebie zadowolony. Wieczorem po pracy, jak to było w zwyczaju, usiedli wszyscy domownicy przy piecu. Brat Albert zwracając się do Stasia rzekł:

– Ja ciebie już niczego więcej nie nauczę, a musisz kształcić się dalej. Za dwa dni wyruszasz do Poznania uczyć się w Akademii Biskupa Lubrańskiego, jeżeli oczywiście nadal zostać chcesz duchownym.

Stasiu aż podskoczył na zydlu. Nie mógł wyobrazić sobie lepszego prezentu. Gdy tylko spojrzął na ojca, cała radość mieszała się jednak ze zwątpieniem. Ojciec zamyślony patrzył w ogień. Matka, jak to kobieta w takich chwilach, zaraz buchnęła płaczem. Staś zdał sobie sprawę z ciężaru jaki nakładał na rodziców podejmując dalszą naukę. Ojciec jakby czytając w myślach syna odezwał się:

– Damy sobie radę. Nie darmo nazywają mnie Twardym!

Staś padł do nóg ojcowych, ucałował rękę i wyszeptał:

– Bóg zapłać tatko.

Nazajutrz skoro świt, chłopiec z tobołkiem na ramieniu wyruszył pieszo traktem poznańskim. Koło południa zatrzymał się pod Kostrzynem u stryja kołodzieja. Czas jakiś odpoczywał, zjadł polewkę i szykował się do dalszej drogi, gdy w zagrodę stryjeczną wjechało dwóch jeźdźców.

– Zaraz poznać, że nie byle kto podjechał - krzyknął przez ramię stryj biegnąc już w stronę przybyszów.

Jeden z koni zgubił podkowę i trzeba było go podkuć. Gdy starszy z podróżnych doglądał pracy kołodzieja, młodszy podszedł do siedzącego pod chatą Stasia. Chociaż był znacznie wyższy od Stasia, wyglądał jednak na jego rówieśnika. Ubrany w skórzany kubrak do jazdy konnej, spod którego wystawała biała koszula i wysokie skórzane buty, prezentował się dostojnie. Nie przeszkodziło to mu jednak rozpocząć rozmowy z ubogim chłopcem.

– Czy mógłbyś podać mi kubek wody? Do Poznania droga daleka, a w gardle zaschło.

– Dobrze panie - wykrztusił Stach. Wbiegł do chaty po gliniany kubek i po chwili nabierał żurawiem wodę.

– Mów mi po imieniu, wołają na mnie Andrzej - powiedział chłopak przykładając kubek do ust.

Stasia zaskoczyła ta bezpośredniość. Za takie odezwie do wysoko urodzonego można otrzymać baty. A tu sam młody szlachcic proponuje by zwać go po imieniu.

– Ja też idę do Poznania. Mam się uczyć w Akademii Biskupa Lubrańskiego - pochwalił się ośmielony Staś.

– W Akademii !? Wspaniale, będziemy zatem kolegami. Ja też się tam wybieram - wykrzyknął uradowany Andrzej.

Resztę drogi do Poznania przebył Stach jadąc wspólnie z Andrzejem na grzbiecie konia. Mijani ludzie dziwowali się tej niezwyklej parze chłopców.

Zaraz za rogatkami Poznania przyszło im się rozdzielić.

Ziemia, która mogła wyżywić rodzinę Twardych, nie rodziła aż tak, by pokryć koszty nauki Stasia. Z pomocą przyszła rodzina brata Alberta, u której nasz bohater znalazł stancję.

Za nocleg i żywienie odpracowywał nauczając, jak to było wówczas w zwyczaju, dzieci swoich dobroczyńców. Już po roku wytrwałej nauki uzyskał stypendium, dzięki czemu mógł ulżyć swoim rodzicom.

Andrzej udał się do swojej rodziny. Już jednak następnego dnia spotkali się w murach uczelni. Przyjaźń ich, zapoczątkowana w drodze do Poznania, miała trwać wiele lat.

Andrzejowi, mimo że pochodził ze szlacheckiej rodziny osiadłej we Wrześni, nie przeszkadzała nigdy przepaść społeczna jaka tylko pozornie ich dzieliła.

Naszemu bohaterowi sprzyjało szczęście. Trafił w mury Akademii w okresie, gdy uczelnia przeżywała okres największego rozkwitu. Mistrzami uczelni byli tego czasu znakomici profesorowie. To właśnie im Andrzej i Stanisław zawdzięczają, iż po Akademii Lubrańskiego nie zakończyli nauki, tylko pieli się wyżej podejmując studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Chociaż tak niewiele brakowało, by Stanisław zakończył naukę. Poważną przeszkodę w podjęciu studiów akademickich stanowiły pieniądze, a właściwie ich brak. O ile w Poznaniu mogła pomóc rodzina brata Alberta, to w Krakowie nie było co marzyć o bezpłatnym mieszkaniu. Nie można było też przyjeżdżać co miesiąc do domu, by zaopasić w jedzenie. Co biedniejsi studenci, podróżując często na pieszo, przebywali takie odległości jak z Krakowa do Marzenina czasami w dwa, trzy tygodnie.

Andrzej, domyślając się problemów jakie dręczyły Stacha, sam zaproponował pomoc finansową swojej rodziny. Nalegał tak długo, aż najbliższy przyjaciel uległ. Bo od czego ma się przyjaciół!

Spełniły się w części młodzieńcze marzenia Stacha - zamieszkał w Krakowie.

Gdzież z Krakowem mogło równać się Gniezno, czy też Poznań. Tu decydowały się sprawy państwa polskiego, tutaj rezydował król, tu też było pełno studentów, często rozbawionych i dokazujących. Nie uciechy pociągały jednak Stacha.

Złakniony był nadal wiedzy.

Studia były niezwykle trudne. Po trzech latach nauki obaj zdobyli tytuł bakałarza, czyli nauczyciela. Właśnie po tym etapie nauki Stach przyjmuje święcenia i zostaje kanonikiem Kościoła św. Jana w Krakowie. Dwa następne lata zeszyły przyjaciółom na uzyskanie licencjatury. Ten stopień naukowy pozwalał na samodzielne prowadzenie wykładów na Uniwersytecie.

Co roku w niezliczonej rzeszy rozpoczynających studia znajdowało się kilku chłopców pochodzenia chłopskiego. Stanisław w miarę swoich skromnych możliwości finansowych pomagał im. Zawsze też służył swoją wiedzą i doświadczeniem.

Wiedział, że droga, którą wybrali jest niezwykle ciężka i potrzeba wielu bratnich dusz, by ją przejść. Jemu ta sztuka się udała, trafił na wspaniałych nauczycieli i przyjaciół, dlatego sam chciał pomagać potrzebującym.

Niedługo później zdobył Stanisław tytuł doktora i magistra teologii. Równie pilny Andrzej został dziekanem. Przynależność do elit profesorskich nie pozwalała także Andrzejowi się ożenić. Niepisane zasady nakazywały profesorom surowy tryb życia, zabraniając im nawet zwykłych uciech tego świata.

Stanisław dzięki zdolnościom, ale przede wszystkim dzięki ogromnej pracowitości biegle władał nie tylko łaciną, ale także językiem greckim i hebrajskim. Tłumaczył dzieła religijne na te języki. Pisał wiersze. Prawdziwą sławę zdobył jednak jako niezrównany mówca. Sława ta dotarła do Rzymu, do samego papieża.

Papież powierzył mu bardzo odpowiedzialną, a przede wszystkim delikatną misję. Otóż przed samym królem miał Stanisław bronić tezy, iż: "Papież jest prawym następcą Piotra św., zatem wszyscy katolicy, nie wyłączając króla, powinni być posłuszni głowie kościoła świętego". Było to zadanie niezwykle trudne, gdyż przemowa miała pouczać króla. Miała przypomnieć Stefanowi Batorowi, że ponad każdym królem, także ponad nim, stoi papież. Trudno było przewidzieć reakcję króla na takie pouczenia, w dodatku czynione w obecności jego poddanych. Dlatego właśnie papież, za radą biskupów postanowił powierzyć to zadanie najlepszemu z mówców.

W pierwszych dniach stycznia roku 1580 na Wawelu, w sali tronowej. Stanisław wystąpił w mowie przed samym Stefanem Batorym. Marzenia chłopięce spełniały się nadal. Oto on, syn kmiecia marzenińskiego stoi przed królem jako jego nauczyciel.

A sala tronowa wypełniona była najprzedniejszymi gośćmi.

Był kanclerz Jan Zamojski. znany z zamiłowania do nauk i sztuk. byli biskupi i najznakomitsi rycerze Rzeczypospolitej.

I oto nasz Stanisław miał być pierwszą postacią tego dnia. na nim skupiały się oczy wszystkich obecnych. A mowa uczonego była na miarę sławy jaką cieszył się mówca. Jeszcze wiele lat później wszyscy obecni wówczas wspominali i pisali o niej z zachwytem. Sam król wzruszony do głębi przemową Stanisława z Marzenina obdarował go iście po królewsku. Zdjął złoty łańcuch ze swojej szyi i założył go mówcy.

– Czy prawdą jest to co mi mówiono. żeś jest synem prostego kmiecia? - Stefan Batory serdecznie objął ramieniem Stanisława.

– Tak Miłościwy Królu. pochodzę z wioski co zwą ją Marzenino.

– Toś żywy dowód. iż nie stan jest ważny. tylko to co w głowie. A kraj nasz sprawiedliwy, skoro dzieci chłopskie mogą uczyć króla. - Batory tryskając humorem podszedł do Jana Zamojskiego.

– A tobie panie Janie. jako wielkiemu mecenasowi sztuki polecam w opiekę tego klechę. bom słyszał. że piękne wiersze pisze.

Gratulował Jan Zamojski. oklaskiwali wszyscy obecni.

Przed oczyma naszego bohatera stały jak żywe obrazy wsi rodzinnej, stały twarze tych wszystkich bliskich osób, dzięki którym stał tu przed swoim monarchą. Trud tych wielu lat nie poszedł na marne. - Jakże ucieszą się rodzice – pomyślał.

Skończyły się kłopoty finansowe uczonego. Bo nawet jako profesor tak znakomitej uczelni nie opływał w dostatki. Teraz opromieniony sławą mógł odwiedzić rodzinny Marzenin.

Przekazywanie wieści w tamtych czasach było niezmiernie trudne i kosztowne, toteż dopiero na miejscu Stanisław dowiedział się o śmierci ojca Grzegorza. Pierwszego z łańcucha ludzi, którym tyle zawdzięczał.

Zastał matkę z dorosłym już rodzeństwem. Wielu ludzi pomagało Stanisławowi w jego karierze naukowej. Chcąc okazać swoją wdzięczność ofiarował na rzecz ponownego otwarcia szkoły parafialnej 500 złotych polskich. Kościołowi zaś marzenińskiemu ofiarował piękny. złoty i wysadzany szlachetnymi kamieniami kielich mszalny, którego historia jest równie ciekawa, a przedstawimy ją dalej.

Stanisław wrócił do Krakowa, ale niedługo potem, jesienią 1580 roku zmarł przedwcześnie. Pozostawił jednak po sobie wiele dzieł, podpisanych, jak to było w zwyczaju w średniowieczu - po łacinie - Stanislao Marzeniensis, czyli Stanisław z Marzenina. Od ponad czterystu lat przechowywane są w Krakowie, w Bibliotece Uniwersyteckiej, by świadczyć o zdolnościach i pracowitości syna chłopskiego.

Sam nasz bohater nie spodziewał się zapewne, 'Że pamięć o nim nie zaginie przez wieki i, 'Że stanie się wzorem do naśladowania dla marzenińskich dzieci.

Historia kielicha

W 1580 roku Stanisław Twardy z Marzenina kanonik kościoła św. Jana w Krakowie i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego ufundował dla kościoła parafialnego w Marzeninie złoty t wysadzany szlachetnymi kamieniami kielich mszalny.

Kielich służył do mszy przez niemal sto lat. przypominał wiernym o Stanisławie synie zwykłego kmiecia Grzegorza, który dzięki swym zdolnościom ale przede wszystkim dzięki pracowitości doszedł tak wysoko.

Był rok 1656. Wojska szwedzkie maszerowały przez Rzeczpospolitą i jak potop zalewały cały kraj. Zwolennicy króla Jana Kazimierza nie potrafili natenczas stawić większego oporu.

Żołnierze szwedzcy zajmowali miasta i wioski i rabując żywność i wszystko inne co stanowiło jakąś wartość. Nie uszanowali nawet kościołów.

Któregoś dnia niewielki oddział kierujący się z Gniezna do Kalisza zawadził o Marzenin. Gdy zasadnicza część oddziału zajęta była grabieniem dworku niewielkiego folwarku.

dwaj żołnierze swoje pierwsze kroki skierowali ku drewnianemu kościołowi. Z ołtarza zabrali trzy kielichy i złotą monstrancję. Szczególny ich podziw wzbudził jeden kielich i wysadzany szlachetnymi kamieniami. Nie byli skorzy dzielić się i tą zdobyczą z resztą oddziału więc przy pomocy noża wyłupali kamienie. Kielich zaś zakopali pośpiesznie w ogrodzie koło kościoła. Tak oszpecony brakiem kamieni mógł przecież ich zdradzić. Dowódcy oddziału przekazali resztę łupu, kryjąc kamienie w swoich sakwach. Nie dane im było nacieszyć się bogactwem. Pierwszy z nich zginął w czasie oblężenia Klasztoru Jasnogórskiego, drugi już w czasie odwrotu wojsk szwedzkich. Potop szwedzki poczynił ogromne szkody kościołowi marzenińskiemu. Nie było świadka tego świętokradzkiego czynu, nikt stąd nie wiedział, że kielich Stanisława leży zakopany kilkanaście metrów od kościoła.

Nastaly ciężkie lata dla Marzenina. Zawierucha wojenna i częste zarazy spowodowały, że w pewnym okresie wioska prawie całkowicie wyludniła się. Napływali nowi osadnicy, a pamięć o kielichu i jego fundatorze zatarła się.

W ziemi przeleżał kielich 215 lat. Pewnego wiosennego przedpołudnia proboszcz zlecił jednemu z parafian zaorać stary ogród. Wiele drzew nie rodziło już owoców i ksiądz Krępeć postanowił zasadzić w ich miejsce nowe. Kiedy pług podążał tą samą bruzdą drugi raz, coś zadźwięczało pod lemieszem. Metaliczny odgłos zaciekał stojącego tuż obok proboszcza. Jakież było jego zdziwienie, gdy wy dobył z ziemi złoty kielich. Miejsca na kamienie były niestety puste. Nic nie dało wstrzymanie orki i rozpoczęcie poszukiwań kamieni.

Ksiądz Krępeć tak jak i inni parafianie nie znali historii kielicha, ani jego fundatora. Jednego czego byli wszyscy pewni, to tego, że kielich padł ofiarą złodziei.

Misterne dzieło sztuki złotniczej wzbudziło podziw proboszcza.

– Któż mógł ufundować to cudo? Kiedy to mogło być, jeżeli najstarsi mieszkańcy nic o kielichu nie słyszeli? - pytania te nurtowały go dzień i noc.

Tak jak umiał oczyścić go z ziemi. Na wewnętrznej części stopy ukazał się napis: "mgr Stanislaw Marenius college major civac v Teer cane templo mare nion legavit" oraz już po polsku: "odani Koszciolowi w Marzeninie".

Po tej cienkiej nitce, poświęcając wiele dni na poszukiwania, ksiądz Krępeć dotarł do kłębka. W końcu wysiłek jaki włożył w rozwikłanie zagadki opłacił się. Mógł teraz opowiadać dzieciom o hojnym dobroczyńcy, stawiając go za wzór pracowitości.

Kielich zaś z parafialnych składek odrestaurował, wprawiając nawet szlachetne kamienie. Był rok 1871 i kielich przez następne lata służył do mszy. Było tak do 1. września 1939 roku. Wybuchła wojna i ówczesny proboszcz - ksiądz Leitgeber zakopał kielich w ogrodzie. Bał się, by nie spotkał go taki los jak trzysta lat wcześniej, tym razem ze strony hitlerowskich najeźdźców. Zakopał go sam jeden, nikogo nie wtajemniczając. Wojna kończyła się. Proboszcz bojąc się Rosjan ucieka przed nimi z wyludnionego Marzenina. Do Polski wraca dopiero po dwóch latach.

Kielichowi dane było tym razem spędzić pod ziemią sześć lat.

Tak jak poprzednio i tym razem całkowicie przypadkowo zostaje odkopany w czasie orki. Lemiesz uszkodził jeden kamień i mimo poszukiwań brakującej połowy nie udało się odszukać.

Po kilku latach trafił z Marzenina do Muzeum Archidiecezjalnego w Gnieźnie, gdzie można podziwiać ten wspaniały zabytek sztuki złotniczej o jakże niezwyklej historii.

Ksiądz Budzyński

Leżąc w łóżku, złożony chorobą, przypominał sobie całe swoje życie. Obrazy z dzieciństwa nie malowały mu się przed oczyma tak wyraźnie, jak te pół wieku spędzone w Marzeninie

Miał niespełna trzydzieści lat, gdy władze kościelne wyznaczyły go na proboszcza w Marzeninie. Nie mogąc doczekać się remontu zniszczonych zabudowań plebanii, by tylko przyspieszyć swoje ostateczne osiedlenie, wydał własne pieniądze na niezbędne naprawy.

Przyjął parafię w 1805 roku nie zdając sobie sprawy, że spędzi tu resztę swojego długiego jeszcze życia. Pół wieku wyłożonej pracy dla wszystkich parafian.

Wyremontował budynki plebanii i upiększył w miarę swoich możliwości stary, drewniany kościół. Matka jego, Katarzyna, namalowała obraz św. Mikołaja, który dotąd wisi w kościele.

Od pierwszego roku swego pobytu prowadził szkołkę parafialną w starej organistówce. Przez następne trzydzieści lat przekonywał władze zaborcze o potrzebie budowy budynku szkolnego. Dopiął swego i w roku 1835 Marzenin mógł poszczycić się szkołą powszechną.

Po następnych dziesięciu latach zabrał się do budowy nowego, dużego kościoła. Kościół stanął na początku 1848 roku. Ksiądz Budzyński miał wówczas siedemdziesiąt jeden lat i wydawać by się mogło, że wszystko ma już za sobą. Mógłby już odpocząć, pójść na zasłużoną emeryturę. Staje jednak przed nim jeszcze jedno wyzwanie, nie mniej ważne niż budowa kościoła, czy szkoły. Jakże jednak odmienne charakterem.

Wiosna tego roku była najpracowitszą w całym jego życiu. Prace wykończeniowe w kościele zabierały mu całe dni. Wieczorami zaś przesiadywał u właścicieli folwarku marzenińskiego - rodziny Niklewiczów. Zjeżdżali i inni goście, ale spotkania nie miały wcale towarzyskiego charakteru.

Dworek marzeniński rozbrzmiewał patriotycznymi mowami.

- Osiemnaście lat mija. jak porwaliśmy się do walki o wolność. Wówczas wieś nie ruszyła z nami, nie możemy popełnić teraz tego samego błędu - młody człowiek przebiegł wzrokiem po twarzach słuchaczy. - Musimy poruszyć masę chłopską, to wielka siła.
- Z gołymi rękoma nie ruszą na Prusaków. Nie mogą być jeno tylko mięsem armatnim - zafrasował się stary szlachcic Niklewicz.
- Broń przybędzie z Francji, choć może nie dla wszystkich starczy. Wielu z nich ma też pewnie pochowane fuzje, którymi kłusują. W ostateczności zaś postawią kosy na sztorc, tak jak za Kościuszkę pod Raclawicami.
- Chłop ma przewrotną naturę i trudno do niego trafić. Tu w Marzeninie największym poważaniem cieszy się ksiądz Budzyński - właściciel dworku spojrział wymownie na proboszcza.
- Pamiętam jeszcze Polskę wolną i do takiej tęsknię - ksiądz Budzyński podniósł się z wygodnego fotela. - Wierzę, że moi parafianie w głębi serca podzielają moje tęsknoty. Postaram się je w nich obudzić.

Wybucho powstanie nazwane później Wiosną Ludów. Jest koniec kwietnia 1848 roku. Wielu mieszkańców Marzenina idzie walczyć za wolną ojczyznę. W najbliższej okolicy dochodzi do starć zbrojnych z pruskim zaborcą. Powstańcy uzbrojeni często w same kosy walczą pod Miłosławem, a 2. maja dochodzi do ważnej bitwy pod Sokołowem, zaledwie o pięć kilometrów w linii prostej od kościoła marzenińskiego.

Ksiądz Budzyński każe bić w dzwony. Biją one także w Grzybowie i we Wrześni. Są sygnałem do powstańczej walki.

Przed kościołem zbierają się ci, którzy jeszcze nie poszli do polskich oddziałów. Proboszcz wygłasza płomienne przemówienie. Pragnie przekonać opornych do potrzeby walki o wolną ojczyznę. Na koniec mowy zostawia decydujący argument.

- A najgorsze w tym wszystkim jest to, że Prusacy wiedzą już, że w naszym kościele biły dzwony. Doszły mnie słuchy, że nasi odwieczni wrogowie chcą wysłać oddział żołnierzy, by zburzyć nasz kościół. Kościół, który takim nakładem sił budowaliśmy, którym nie zdołaliśmy się nacieszyć. Musimy go bronić. bronić naszej wiary. musimy chwycić za broń. Ja sam, mimo że mam siedemdziesiąt lat poprowadzę was na Prusaków.

Po godzinie kilkunastoosobowy oddział powstańców na czele z księdzem Budzyńskim maszerował już drogą w kierunku Słomówka. W lesie skręcił na Gulczewo. dotarł na skraj lasu i tam zajął pozycję. Grube pnie starego lasu dobrze maskowały niewielki oddział.

W tym samym czasie Prusacy po przegranej bitwie wycofywali się spod Sokołowa. Zaskoczeni przez jazdę polską podpalają Gulczewo. Ostatnie oddziały, chcąc ominąć palącą się wioskę, skręcają na zachód w kierunku pobliskiego lasu.

Oczy zaczajonych powstańców śledzą uważnie zbliżającego się wroga. Niejedno chłopskie serce podchodzi do gardła. Wszyscy zdają sobie sprawę z przewagi przeciwnika, tak liczebnej, jak i w uzbrojeniu. Ksiądz Budzyński dobrze jednak wie, że element zaskoczenia może być decydujący w starciu.

Szeptem wydaje ostatnie rozkazy.

Gdy Prusacy są już blisko drzew, padają w ich kierunku strzały. Dziki okrzyk atakujących chłopów wprowadza panikę w oddziale pruskim. Na nic zdają się pokrzykiwania dowódcy. Porzuciwszy co cięższy sprzęt, nie rozpoznawszy nawet przeciwnika, żołnierze uciekają polami w kierunku Gniezna. Zgodnie z przygotowanym wcześniej planem, chłopci nie gonią dalej Prusaków. Ze zdobytą bronią wycofują się z powrotem na skraj lasu. Zostają tam do zmierzchu, a pod osłoną nocy wracają do wsi.

Wystraszeni Prusacy polami wędrują w kierunku Gniezna.

Nie mogą uwierzyć, że zdolali umknąć pod lasem uzbrojonym po zęby, jakże licznym, powstańcom. Brnąc poprzez radliny spierają się, czy powstańców było trzystu, czy też pięciuset. Noc spędzają w szczerym polu. Nad ranem słysząc dochodzące z Czeluścina odgłosy walki, podrywają się do forsownego marszu. Nie myślą wcale o pójściu z odsieczą obrońcom Czeluścina. Dzięki temu Polacy odnoszą tam zwycięstwo, okazuje się jednak, że ostatnie w całym powstańczym zrywie.

Kilka dni później powstanie upada. Satysfakcja ze zwycięskiego starcia pod Marzeninem miesza się z obawą przed represjami ze strony zaborcy. Szczęśliwie omijają one jednak mieszkańców wsi.

Do Prusaków dochodzą jednak wieści o działalności powstańczej proboszcza marzenińskiego. Anonimowy donos nie może być jednak dowodem, dlatego wynajdują inny zarzut.

Ksiądz Budzyński zostaje oskarżony o fałszowanie dokumentów. Szczególnie dokładna kontrola dokumentów parafialnych, przeprowadzona przez urzędników pruskich, wykryła ślady "odmładzania" powstańców. W aktach chrztów zmieniono daty. Miało to wykazać, że właśnie ci młodzieńcy byli w chwili wstąpienia w szeregi powstańcze niepełnoletnimi. Nie mogli więc odpowiadać za swe czyny. Ksiądz Budzyński chciał uratować w ten sposób od

kary więzienia dwóch powstańców. Jeden z nich był dzieckiem byłego właściciela folwarku Waliszewskiego, drugi jego kuzynem.

Pierwsza rozprawa w Gnieźnie w 1852 roku kończy się wyrokiem uniewinniającym. Sąd drugiej instancji w Bydgoszczy skazuje księdza Budzyńskiego na karę grzywny w wysokości 50 talarów, odebranie Kokardy Narodowej i zakaz prowadzenia parafii. Trzecia rozprawa, ostateczna, która odbyła się w Berlinie w październiku 1854 roku podtrzymuje wyrok skazujący.

Ksiądz musi zrezygnować z probostwa. Nie dysponuje jednak żadnym majątkiem, by zapłacić grzywnę.

Jest rok 1856. Ksiądz Budzyński nie przyjmuje propozycji władz kościelnych, by zamieszkać w małym pokoiku przy Seminarium Duchownym w Gnieźnie. Bez środków do życia chce jednak doczekać ostatnich dni wśród swoich parafian w Marzeninie.

5 listopada 1856 roku o godzinie 18.30 kończy jakże bogaty żywot, pełen poświęceń dla ojczyzny i ukochanej parafii.

Legenda o cudownym źródelku i ludzkim piekielku

Nikt już nie pamięta kiedy wydarzyła się ta historia. Może dwieście. może trzysta lat temu z dala od wioski. przy drodze wiodącej do lasu postawił swoje gospodarskie obejście chłop, którego zwali Dobryś. Tu właśnie miał swoją ojcowiznę. na której gospodarzył tak udanie. że wkrótce dokupił trochę ziemi. Po kilku następnych latach stać go było na jeszcze odrobinę. tak że gospodarstwo rozrosło się nad podziw.

Pracował Dobryś tak ciężko głównie dla dzieci, a miał dwóch synów. między których chciał podzielić ziemię. Ludzie ze wsi przypisywali powodzenie Dobryśowi nie tyle jego pracowitości, co właściwościom wody ze studni przy jego domu. W studni bowiem było źródelko. a woda z niego miała cudownie słodkawy smak.

Opowieści o cudownym źródelku szybko obiegły okolicę.

Nie było dnia, by ktoś nie zawitał do obejścia prosząc o napełnienie dzbana. Dobryś był poczciwym człowiekiem. więc chętnie spełniał prośby ludzi. Ci z wdzięczności zostawiali mu to kilka jaj, to kurę. to trochę miodu. Dzięki temu żyło się chłopu coraz dostatniej. Mógł już wynajmować parobków do pracy. by zaoszczędzić jej swoim synom. Synowie dorastali tak szybko, jak ich ojciec się starzał. Praca na roli nie pociągała ich wcale. Całe dnie marnotrawili na zabawy. Byli częstymi gośćmi w marzenińskiej karczmie. Oj, nie udali się synowie zacnemu Dobryśowi. Ten zaś zaczął nedomagać. Z dnia na dzień stawał się coraz słabszy. Nie pomagała nawet cudowna woda. Któregoś wiosennego dnia zamknął oczy na zawsze. Przedtem jednak podzielił gospodarstwo równo po połowie dla każdego z synów. Studnia z czarodziejskim źródelkiem miała być wspólna, chociaż leżała bliżej chałupy starszego.

Starszy z synów liczył, że otrzyma całe gospodarstwo po ojcu. Tak przynajmniej nakazywała tradycja. Nie zadowalała go połowa. mimo że i tak była większa od innych marzenińskich gospodarstw. Postanowił odbić to sobie na bracie w inny sposób. Wysokim płotem ogrodził studnię tak, by tylko on mógł korzystać ze źródła. Od proszących o wodę żądał zapłaty. Niemalże zyski z jej sprzedaży płynęły do jego kiesy.

Młodszy brat na próżno dopominał się o swoje. Straszyl starszego sądem. W końcu gdy zawiodły i prośby, i groźby wypuszczał swoje psy na pole, by odstraszały ludzi od przychodzenia po wodę. Poskutkowało to lecz na krótko. starszy brat pozabijał bowiem psy. Od tego czasu wojna wybuchła między nimi. To jeden drugiemu drzewo ściał, to drugi kaczkom łby poukręcał. Pobili się nie raz, nie dwa. W końcu na szatański pomysł wpadł młodszy z nich. Jednego dnia wybrał się do staruszki mieszkającej w lesie, o której ludzie mówili, że czarami się trudni. Kupił od niej wiele ziela trującego i nocą, gdy nikt nie widział wrzucił do studni. Woda w źródleku zawrzała i w jednej chwili zmieniła kolor na brunatny. Gdy śmierdząca woń dotarła do młodszego, ten tylko zatarł ręce z wielkiego zadowolenia.

Rano w obejściu zawrzało. Wokół domu biegał starszy z braci trzymając w rękach widły i złorzecząc winowajcy. W pewnej chwili przystanął, spojrział na dym z komina badając kierunek wiatru.

– Spalę tę twoją chałupę razem z tobą - krzyknął i wbiegł do siebie. Po chwili trzymał w rękach zapaloną wiązkę słomy.

Nie zastanawiając się dłużej przebiegł wąskie podwórze i rzucił ją na bratowy dach. Chata pokryta słomą zajęła się szybko ogniem. W mgnieniu oka ogień dotarł do chlewiku i stodoły. Dusząc się dymem z izby wybiegł młodszy brat. Z początku nie wiedział co robić pierwej, rzucić się na brata. czy ratować dobytek.

Dopał w końcu do żurawia, nabrał w ceber wody źródlanej i chlusnął nią w ogień. Ale ta nawet na odrobinę nie zdusiła płomieni. Wydawać by się mogło, że nawet je podsyca. Podpalacz stał z boku i zaśmiewał się w głos. Lecz w tym momencie stało się coś dziwnego. Wiatr nagle zmienił kierunek i ogień ślizgał się już po części budynków starszego brata. Teraz już razem lali wodę z źródleka w płomienie. Każdy gasił co swoje. Lecz woda miast walczyć z ogniem tylko go zwiększała.

Nim ludzie z wioski dobiegli z pomocą, płomienie strawiły wszystkich dobytek. Na tłących się jeszcze zgłiszczach siedzieli obaj bracia ukrywszy twarze w dłoniach.

– Sami uczynili sobie to piekło - potakiwali głowami ludzie.

Bracia sprzedawszy ziemię wynieśli się z Marzenina. Jeden powędrował na zachód a drugi na wschód, by nigdy nie spotkali się już więcej.

A źródleko odzyskało po latach swoją krystaliczną wodę, lecz ta nie miała już tego cudownego. słodkawego smaku.

Przestali wierzyć ludzie w jej lecznicze walory, przestali też po nią przychodzić. Mówili, że rany wody leczą się bardzo długo i trzeba by czekać dwieście, trzysta lat. Po jakimś czasie nowy właściciel zasypał studnię, po której została tylko legenda.

Strajk Szkolny

Był rok 1906. Wakacje kończyły się zaraz po Wielkanocy. Nowy rok szkolny miał rozpocząć nowy nauczyciel. Przez siedemdziesiąt lat istnienia szkoły powszechnej nauczycielem był zawsze Polak.

Teraz naukę w szkole miał poprowadzić Prusak. Dla wszystkich stało się jasne, że język niemiecki na stałe zagości w murach szkoły.

Religia miała być nauczana w języku zaborców. Nauczyciel nie przybył jednak 1. kwietnia. Nikt dokładnie nie wiedział co opóźniło jego przyjazd. Dopiero z początkiem drugiego semestru w październiku tego roku lekcja religii rozpoczęła się od słów:

– Guten Morgen meine Kinder!

Po niedzielnej mszy w starej organistówce zebrało się kilka osób.

– To ten stary von der Osten sprowadził tego nauczyciela wąsaty jegomość wyraźnie poirytowany kręcił się na krześle. - Takt tak - pokiwał głową sąsiad. - W końcu dostał niemieckiego dzierżawcę dla swojego folwarku to i nauczyciela dla jego dzieci sprowadził.

– To wszystko wiemy - odezwał się ksiądz Nowicki. - Musimy zastanowić się co teraz czynić. Jeżeli nie podniesiemy głowy, to coraz więcej Prusaków będzie osiedlać się w Marzeninie.

Spójrzcie ilu ich już jest w Sobiesierniu. Wykupią wasze gospodarstwa!

– Za broń przecie nie chwycim jak nasze dziady pół wieka temu. Bo nam zimie za darmo wezmą - stary Mateusz przejechał wzrokiem po zebranych.

– Jak mam posyłać mego Antka do szkoły, jak tam dostaje kijem, bo nie chce mówić "Ojczy Nasz" po niemiecku! - wykrzyknął owczarz Kuba.

– A może strajkować? - zapytał brat Mateusza. - Pięć lat temu dzieciaki we Wrześni strajkowały! Tyle tylko, że kijami dostawały, a rodzice później w więzieniach siedzieli.

– Tak, wówczas cały świat protestował w obronie dzieci i ich więzionych rodziców. Prusacy drugi raz nie odważą się tak samo postąpić. Od pół roku strajkują dzieci w Miłosławiu. Nie słyszałem, by ktoś tam je bił - ksiądz Nowicki wstał z krzeselka i z zamyśloną miną krążył po małej izdebce.

Wszyscy wpatrywali się w postać duchownego. Od czasów księdza Budzyńskiego każdy ksiądz cieszył się w Marzeninie wielkim zaufaniem. Postąpią zgodnie z jego radą .

– Czy ktoś z was widzi jakieś inne rozwiązanie niżli strajk?

– Nie! - prawie jednocześnie odpowiedzieli zebrani.

– Od jutra nie posyłamy dziatwy do szkoły! - stary Mateusz stuknął drewnianą laską o podłogę.

Z krzeselka podniósł się jeden z chłopów.

– Jeszcze dzisiaj pochodzę po chałupach u siebie w Ostrowie i przekonam wszystkich, by i u nas nie dawali dzieci do szkoły. Jesteśmy wszak jedną parafią!

Nazajutrz pruski nauczyciel stojąc przed szkołą wypatrywał dzieci. Z odległego zaledwie o pięćdziesiąt metrów drzewa obserwowały go bystre oczy dwóch chłopców. Schowani za ogołoczone z liści konary szeptali do siebie:

– Spójrz tam na folwark. Idą dzieciaki zarządcy!

– A niech idą. To przecie Szwaby, to i do szkoły pójdą - starszy z chłopców splunął na ziemię.

– Ociec mówią, że jak pacierza po niemiecku nie powiesz, to różgą po łapie leje nauczyciel. A czy ja Niemiec, czy co, że mam po ichniemu szwargotać.

Nauczyciel stał tak kwadrans z trojgiem niemieckich dzieci. W końcu wszyscy zniknęli w budynku szkoły. Młodszy z chłopców Józek Przybysz zsunął się z drzewa.

– Lecę do tatki wszystko powiedzieć - krzyknął w kierunku Michała Bojańskiego.

Starszy niewiele dłużej wytrzymał na drzewie. Kryjąc się za płotem dotarł pod okno szkoły. Przez szybę zaglądnął do izby. Troje niemieckich dzieci siedziało w pierwszych ławkach a nauczyciel przechadzał się pod ścianą. Michał dobrze znał tę izbę, dlatego od razu rzuciła mu się w oczy istotna zmiana. Na ścianie, nad tablicą, obok krzyża wisiał czarny orzeł.

Znał to godło pruskie. Leżało ono zawsze na strychu. Poprzedni polski nauczyciel wieszał je tylko, gdy do szkoły przyjeżdżał inspektor z Wrześni.

* * *

Przez pół roku dzieci nie chodziły do szkoły. Nie był to jednak stracony czas. Trzy razy w tygodniu, wieczorami, by żaden Prusak nie zauważył, dzieci schodziły się do organistówki.

Tam ksiądz Nowicki uczył je języka polskiego i historii Polski.

Nigdy dzieci nie uczyły się tak chętnie.

Strajk trwał do wiosny. Prusacy wiedzieli jak złamać polski opór. Kary grzywny dla rodziców, których dzieci nie chodziły do szkoły, były tak duże, że w wielu rodzinach nie starczało na chleb. Trzeba było posłać dzieci do znieawidzonej pruskiej szkoły, by nie umrzeć z głodu.

Prusacy dobrze pamiętali tych, którzy strajkowali. Na świadectwach ukończenia szkoły powszechnej umieszczali zapis o udziale w strajku szkolnym. Z takim świadectwem nie można się było dostać do szkoły średniej.

Potajemne lekcje polskiego i historii trwały jeszcze dobrych dziesięć lat. Ksiądz Nowicki prowadził je, aż do odzyskania niepodległości w 1918 roku. Wychował polskich patriotów, którzy licznie walczyli w Powstaniu Wielkopolskim przynosząc wolność swojej ziemi.

Źródła:

Informacje od pana Leszka Nowackiego